

Laurencja Sternowa

Podróż (I)

Teksty : teoria literatury, krytyka, interpretacja nr 4-5 (28-29), 321-331

1976

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Autobiografia

Laurencja Sternowa

Podróż (I)

3 X 1975 r.

(...) Na różne pytania o podróż, odpowiadam chętnie, szkoda tylko, że nie mogę tego zrobić osobiście. Podróż do Peru, Ekwadoru i Kolumbii, choć odbyłam ją w odwrotnym porządku, była i pozostanie szokiem kulturowym. A poza tym zachętą do tego, żeby w następnym roku wybrać się w okolice równie egzotyczne. Marzy mi się Mongolia i Japonia zwiedzana od gór w dół. Poza tym Himalaje itp. Z Ameryki Południowej pozostała mi tęsknota do powrotu. Nie we wszystkie miejsca, ale na pewno nad jezioro Titicaca i do pewnej wioski położonej w Andach pomiędzy Cusco i Machu Pichu. Dopiero teraz zaczęłam rozumieć antropologów, których gna w takie miejsca nie tyle naukowa pasja, ile odmienność nie do pojęcia i przez to fascynująca. Czym jest życie Indian nad jeziorem Titicaca, tego zrozumieć nie można. Pod tym względem są oni na równi z nami. Dla nich wyobrażenie Europy również nic nie znaczy, jest równie nieprzeniknione jak dla nas ich życie. Nasze pojęcia nie przylegają do tamtejszych sytuacji. Spróbuj sam sobie wyobrazić, że mieszkasz w domu z gliny, bez okien, bez łóżka, stołu i krzesła, że masz tylko to, co nosisz na sobie, czego z siebie nie zdejmujesz, że twój dzień rozpoczyna się w oslepiającym słońcu o godzinie piątej rano i kończy się w momencie, kiedy ziemia zamarza na kamień o piątej po południu, kiedy słońce zachodzi za góry i białe szczyty odległej o dziesiątki kilometrów Cordillera Real wstępują na niebo w majestatycznej grozie. Wyobraź sobie, że żyjesz na milczącym kontynencie, gdzie nie ma ptaków, gdzie nie ma wiatrów, gdzie krowy nie ryczą, samochody nie trąbią i ludzie do siebie nie mówią, a nie-

mowlęta nie płaczą. Dwanaście godzin nocy spędzasz skulony w kącie domu zbudowanego z gliny, bez żadnego ogrzewania, żując albo liście coca, żeby zabić głód, lub też kawałek wysuszonej świnki morskiej, którą kupiłeś na targu w miasteczku oddalonym o mile, do którego wędrowałeś całą noc po zamrożonej ziemi, oganiając się od wściekłych psów. Od stycznia do maja masz czas trochę lepszy. Powietrze jest nieco cieplejsze, a od czasu do czasu pada deszcz, pozwalając ci uprawić nędzny kawałek ziemi wyrwany kamieniom i zamieniony na poletko, na którym sadzisz sto sześćdziesiąt odmian kartofli, jedynej jarzyny, która wytrzymuje ten nieludzki klimat. Jedyne bogactwo, jakie posiadasz, to lamy i parę owiec, które z głodu jedzą nawet papier znalezione na śmietniskach. Co się dzieje w reszcie kraju, nie masz pojęcia. Wszak nie mówisz w żadnym języku jak tylko w aymara, języku Indian, którzy przed stuleciami, u może tysiącletniemi wzniesli gigantyczne posągi nieznanym bogów w Tiahuanaco nad brzegiem jeziora. W oficjalnym języku «castilliano» umiesz liczyć, to ważne jeżeli zamierzasz coś kupić w większym miasteczku, a poza tym znasz kilka dodatkowych zdań, jak np.: «ile to kosztuje» itp.

Fakt, że coś się zmieniło od dni twoich przodków, dostrzegasz w tym, że kupujesz sobie tranzystorowe radio. Nie po to, żeby słuchać audycji, ale muzyki. Do kościoła chodzisz skrupulatnie i kłaniasz się z podziwem wielkim wyzłoconym figurom, im więcej złota tym lepiej, a z drugiej strony oddajesz również hold górcom, jak twoi przodkowie, tyle tylko, że oni najprawdopodobniej nie zegnali się na ich widok znakiem krzyża, ale ty o tym przecież nie wiesz.

Niesamowite, co? A spotkania w sklepiku w oddalonej wiosce z lokalnym «witchdoctor». Była to starucha, mówiła po hiszpańsku, ofiarowała mi dwa świeże jajka, na znak przyjaźni. Były tam i suszone żaby, pono nadzwyczaj dobre na artretyzm, kora z drzewa, które płacze krwawymi łzami, niezawodna na raka żołądka, węże na kaszel i bóle w piersiach, lilipucie krokodyle, zioła sprowadzane z dżungli i rozmaitego typu afrodyzjaki, maście na przynęcanie niechętnego kochanka, na nieplodność itp.

Tak jest nad jeziorem Titicaca, którego krańców nie widać, mimo że powietrze jest tak przezroczyste, że widzisz na dziesiątki kilometrów. Na jezioro za dnia patrzeć nie można. W słońcu rozżarza się do białości, jak folia cynkowa. Altiplano, czyli otaczający płaskowyż, jest w kolorach szaro-rudych. Indianie ubrani bajecznie kolorowo.

Kobiety noszą po dziesięć spódnic, jedna na drugą, a to w celu ochrony przed zimnem. Każda w innym kolorze, wszystkie odmiany czerwieni, różu, fioletu i ciemnego błękitu. Podobnie mężczyźni. Są mali, drobnego wzrostu, nie wyglądają na niedożywionych, przepiękne zęby. Nie chodzą, ale biegają drobiażym krokiem. Wszystkie swoje rzeczy noszą na plecach, z niemowlętami włącznie. Jedynym transportem są ciężarówki. Otwarte oczywiście, gdzie kurz pokrywa cię od stóp do głów szarym pyłem. Drogi oczywiście są tylko bite. Nawet podróżując w samo południe, kiedy temperatura powietrza osiąga około trzydziestu stopni w słońcu, marzniesz na ciężarówce na kość. I nie pomaga ci ani poncho, które masz na sobie, ani spodnie i grube skarpety i te dodatkowe trzy pary swetrów, które przezornie z rana wciągnęłaś na siebie. I mimo wszystko tylko tam naprawdę chciałabym wrócić, bo czegoś takiego nigdzie indziej na świecie nie znajdziesz. Jest to kraina «sublime» i dopiero tam będąc zaczynasz pojmować walor ciszy, która jest w stanie stymulować przeżycia mistyczne. Dlaczego święci szli na pustynię? Tam nie wymaga to żadnych dodatkowych komentarzy.

Nie dojechaliśmy do Boliwii. A szkoda, bowiem jak wszyscy mówią, jest to kraj jeszcze dziwniejszy niż Peru. Peru to też nie jeden kraj. Masz Altiplano, które egzystuje poza czasem historycznym. Masz Cusco, które żyje w czasie historyczno-zmitologizowanym świata Inków, i masz wybrzeże i takie miasta hiszpańskie jak Arequipa, których mieszkańcy nic nie wiedzą o tym, co się dzieje za ich plecami w Andach, ani też po prawdzie nic nie chcą wiedzieć.

Ale o tych sprawach napiszę Ci w następnych listach z podróży.

30 X 1975 r.

Dziękuję Ci za list i dobrą opinię o mojej narracji z podróży. W pewnej mierze była to bowiem podróż z typu dziewiętnastowiecznych wypraw do nieznanych części naszego globu. Ameryka Południowa w niektórych swoich fragmentach jest ciągle ziemią nieznaną, a jak wiesz, jest to rarytas szczególnie. Niewiele już bowiem mamy takich miejsc na świecie. W roku następnym chciałabym wybrać się do Mongolii, gdzie pewnie można jeszcze uchwycić coś ze świata, który gdzie indziej przeminął już bezpowrotnie. Tyle o przyszłości, a teraz z powrotem do mitów. Na dzisiaj jest Cusco i okolice. Czyli wypra-

wa do stolicy Inków, w przeszłość hiszpańską i nawrót tradycji miejscowej. Czy tylko naprawdę miejscowej. Zarówno kulturalne, jak i narodowe «revivale» mają to do siebie, że upiększają i ulepszą to, do czego się odwołują. Ma to również miejsce w revivalu, który odbywa się w Andach, a w Cusco szczególnie. Miejscowa ludność szczydzi się tym, że mówi w języku Inków, zapominając o tym wszakże, że był to język najeźdźców, który wyparł ich własne wioskowe narzecza. Przed wejściem Corteza do Cusco miejscowa ludność nie mówiła w keczua, był to bowiem język Panów, a nie podbitych szczepów. Uwagi tego typu można by było mnożyć w nieskończoność. Przykład stosunkowo nieudolnie robionego odrodzienia narodowego pokazuje dobitnie, jak całe to przedsięwzięcie jest lipą, a w gruncie rzeczy fasadą dla pewnych treści politycznych, całkiem zresztą niemitych. Ale teraz o Cusco. A więc masz dolinę pomiędzy pasmami górskimi. Możesz dojechać koleją, około doby z Limy, możesz dolecieć samolotem (jedna godzina), o autobusie nie ma co nawet wspominać, około trzech dni. Dziwisz się. Odległości w Ameryce Południowej są nieobliczalne. Ale szosy nie ma, i czy być może zresztą, kiedy masz pokonać szereg łańcuchów górskich i wspiąć się z poziomu morza na wysokość trzech i pół tysiąca metrów. Wobec tego przylatujesz samolotem. Z lotniska jedziesz przez brzydkie przedmieścia; nic Ci nie mówią, co za chwilę zobaczysz. Nagle wjeżdżasz w śródmieście. Nieodzowna Plaza de Armas — nie ma miasta w Peru, w którym główny skwer nie nosiłby tej nazwy — i znajdujesz się od razu naprzeciwko katedry, wspaniałej i ponurej struktury z żółtawego kamienia w okazałym barokowym stylu, obok stoi przylepiony najstarszy kościół w Cusco zwany El Trionfo, ufundowany przez samego Corteza jako dar wotywny złożony w podziękę władzom niebieskim za cudowne ocalenie z dwuletniego oblężenia. Z innej strony skweru znajduje się kościół jezuitów zbudowany na dawnej świątyni węzów. Obok wejście do uniwersytetu w stylu mudejar, jak w Salamance. Dwie dalsze strony zabudowane jednopiętrowymi domami z podcieniami i owymi hiszpańskimi balkonami, gdzie panny mogły obserwować eleganckich kawalerów, same nie będąc widziane. Wokoło dalsze trzydzieści kościołów a wieczorem nad miastem rozżarza się figura Chrystusa, ustawiona na wzgórzu, wielki fetysz, który ma ratować miasto przed trzęsieniami ziemi. Ostatnie zdarzyło się w latach pięćdziesiątych. Połowa miasta legła w gruzach, a rząd hiszpański przystał zarówno pieniądze, jak i rze-

mieślników do przeprowadzenia odbudowy zrujnowanych zabytków. Hiszpanie miasta Inków nie zniszczyli. Oni je po prostu zużytkowali. Jak chodzisz po Cusco, to widzisz, że większość domów stojących w śródmieściu jest zbudowana do wysokości pierwszego piętra z wielkich ciosów kamiennych. Otóż to są dawne domostwa Inków. Były one niewysokie. Inkowie — mistrzowie obróbki kamienia — nie opanowali sztuki wznoszenia wielokondygnacyjnych budowli. Domy ich sięgały pierwszego piętra, dach był w większości, lub też wszystkich wypadkach ze słomy. Owe domostwa miały charakter forteczny. To co masz teraz, to był dawniej czworobok wzniesiony z kamienia, jedno do niego prowadziły drzwi, a w środku znajdowały się pomniejsze budowle wznoszone na ogół z gliny, w których mieszkali członkowie klanu. Do dziś dnia struktura wsi indiańskiej z Andów oparta jest na podobnej zasadzie. Co zrobili Hiszpanie, to zdarli dachy, wyburzyli domki z gliny, znajdujące się w środku kamiennego obmurowania i ostatnie zużyli jako podstawę czworoboku ulicznego, parcelując go wewnątrz i z zewnątrz na szereg rezydencji, dobudowując jedno lub dwa górne piętra. Tak więc chodzisz po Cusco, mieście dwuwarstwowym. Świątynie inkaskie innego doczekały losu. Większość wyburzono całkowicie. Użyto ich po prostu jako kamieniołomów do wznoszenia kościołów na ich miejsce. Jedyne zabytek, jaki pozostał prawie nie naruszony, to świątynia słońca, El Corricancha, obecny kościół Dominikanów. Do dziś dnia zachował się wspaniały bastion narożny i poza tym cała właściwie świątynia, której mury zostały inkorporowane w dziedziniec klasztorny. Obecnie się to miejsce bada, a właściwie odbudowuje w najlepszym polskim stylu rekonstrukcji zabytków. Mit złota. Złoto było i jest w Cusco nadal. Hiszpanie pewnie zabrali sporo, ale to, co zostało, robi wrażenie. Ale sam powiedz, czy byś nie zwariował, tak jak to musieli zrobić bandyci Corteza, kiedy nareszcie weszli do świątyni słońca i tamże zobaczyli, że dziedziniec świątyni jest wyłożony złotą blachą, że na tej wyściółce stoją drzewka odlane ze złota ze złotymi listkami, że pomiędzy tymi drzewkami stoją odlane ze złota lamy naturalnej wielkości, jedząc ze złota zrobioną trawę. O prawdziwą trawę, wydaje się, było trudniej niż o jej złotą imitację. Oczywista, że zdarli i przetopili zwierzątko, czym sobie zarobili na ludową rewoltę i dwuletnie oblężenie, które mogło się być skończyć źle dla przyszłego hiszpańskiego panowania w imperium Inków. Do pewnej części tego złota król hiszpański

zgłosił swoje pretensje, ale reszta pozostała w Cusco, bądź w prywatnych rękach, bądź też zamieniona na wyłocenie ołtarzy i wnętrz kościołów. Nie była to zamiana nieuczciwa. Jeden kult zastąpiono drugim i jak się wydaje artystycznie o znacznie wyższej jakości. Jak się zachowywali Hiszpanie w nowo zdobytym imperium? Tak jak przystało na oświeconych zdobywców. Karano krwawo, nagradzano łaskawie. Ci pierwsi zdobywcy musieli przeżyć coś w rodzaju wstrząsu psychicznego w obliczu cywilizacji, która nawet w ich pojęciach nie mogła być uznana za barbarzyńską. W szeregu kościołów masz obrazy z przedstawieniami momentu ślubu między Hiszpanami arystokratycznego pochodzenia a potomkami królewskiego rodu Inków. Panny z królewskiego domu Inków idą do ołtarza ubrane w narodowe kostiumy, długie białe szaty, bogato haftowane, obwieszane klejnotami. Panowie w kryzach, jak z Velasqueza. Stoły do wieczery ślubnej uginają się pod rodzimymi i sprowadzonymi smakołykami, a pierwsze miejsce zajmuje wśród potraw pieczona małpa, znany delikates, wysoce ceniony pomiędzy tubylcami.

Zwiedzanie kościołów i klasztorów otwartych ostatnio dla turystów jest przeżyciem dla każdego, a dla historyka sztuki wstrząsem. Znasz Europę, potrafisz więc to docenić. Gdziekolwiek pojedziesz w Europie, znajdziesz zabytki, które są znacznie zubożone w stosunku do ich pierwotnego stanu. To, że dzieła Boscha możesz oglądać jedynie w Prado lub w Wiedniu, a na pewno nie w Holandii czy Belgii, mówi o smutnej wędrówce i rozproszeniu przedmiotów, które rzadko znajdują się w miejscu ich pochodzenia. Muzeum w Gripsholmie, które ma więcej obiektów do studiów nad historią Polski siedemnastego wieku, jest tego tragicznym przypadkiem. Dlatego też Cusco jest takim wstrząsem. Wchodzisz do zakrystii i stoją tam wszystkie te wspaniałe szafy i kufry, wiszą obrazy w takim samym porządku, w jakim je ustawiono i zawieszono te trzysta lat temu. Nic stamtąd nie ubyło, niewiele przybyło również. Złoty Wiek hiszpańskiego Cusco skończył się wraz z uzyskaniem niepodległości przez Peru w latach trzydziestych dziewiętnastego wieku. Od tego czasu hiszpańska tradycja znajduje się w odwrocie, co prawda nic nie weszło na jej miejsce przez długi okres czasu. Dopiero teraz w wyniku politycznej propagandy zmierzającej do odrodzenia narodowego obserwuje się takie oto dziwolągi jak hotel Hilton przyozdobiony pseudoinkaskimi ornamentami, lub też kino w nowszej części miasta zbudowane w stylu świątyni słońca, kasa mieści się

w imitacji bastionu! Stan zabytków hiszpańskich budzi wiele do życzenia. Obrazy brudne i pocięte. Cudowne kazalnice z drzewa, majstersztyki stolarki na miarę światową, są restaurowane przy pomocy wielkich gwoździ, którymi przybija się odpadające fragmenty. Przykład siedemnastowiecznego wisielczego humoru. Na szczycie kazalnicy w kościele San Blas w Cusco zarząd kościoła umieścił czaszkę jej twórcy — chyba na znak uznania dla jego sztuki.

Jak wszyscy turyści również i my odbyliśmy pielgrzymkę do Machu Pichu. Rano o godzinie siódmej wraz z innymi turystami wsiadasz do pociągu, który najpierw wywozi cię na poziom otaczających Cusco gór, by następnie zjechać do sąsiedniej doliny i posuwając się wzdłuż rzeki Urubamba wjechać w kanion, gdzie też znajduje się stacja wyładunkowa do Machu Pichu. Tłum turystów rzuca się do wyjścia. Tłoczysz się razem z nimi i w momencie, kiedy pociąg zatrzymuje się na peronie, pędzisz jak oszalały, żeby zająć dobre miejsce w kolejce do autobusów, które czekają na ciebie po drugiej stronie kanionu. Wsiadasz do jednego z pierwszych, biada późniomym, muszą bowiem czekać w kolejce, aż wszystkie autobusy turystyczne pojedą do góry i wrócą z powrotem, trwa to około półtorej godziny. Autobusy ruszają i wspinasz się po zboczu, około dwadzieścia zygzaków. Z dołu wydaje ci się, że jest to najpewniejsza droga do nieba; gdzie mogą się znajdować owe sławne ruiny, nie sposób z dołu zobaczyć. Nagle autobusy zatrzymują się. Rodzaj platformy, na platformie hotel a dalej kasa. Kupujesz bilet i idziesz. To co przed tobą otwiera się, to wąskie siodło górskie, otoczone z dwóch stron przepaściami — z jednej z nich właśnie przyjechałeś. Z jednej strony masz wąską przełęcz łączącą siodło z następnym pasmem górskim. Z drugiej strony wyrasta nad tobą masyw Huana Pichu, coś w rodzaju Giewontu, który ze wszystkich stron jest tak przepaścisty jak od strony Zakopanego. Różnica: dwa razy wyższy. A przed tobą na siodle prawdziwe rozciąga się miasto. Z jednej strony świątynie i pomieszczenia możnych, z drugiej normalne zabudowania. I wszędzie schody. Jeżeli ktokolwiek kiedykolwiek będzie Ci mówił o religii Inków i ich systemie kosmicznym, to nie wierz! Ten lud czcił schody, zapewniam Cię o tym. Cwałujesz po schodach w górę i w dół, wchodzisz do pomieszczeń jednak pustych, zaskakuje Cię widok ślepych okien, podziwiasz system irygacyjny, na Huana Pichu. Z dołu wydaje się to przedsięwzięciem zgoła nie-

możliwym, ale dowiadujesz się, że na sam szczyt wiedzie ścieżka, szeroka na stopę, wykuta w kamieniu (dwa tysiące stopni!), wobec tego wspinasz się wraz z innymi, po drodze żartując, że jednak nie należałoby się poślizgnąć, bo wylądujesz w rzece Urubamba około tysiąca metrów niżej, i zapewne nie w jednym kawałku. W końcu jesteś na szczycie, znowu zdjęcia panoramy Andów i biegiem w dół, żeby się nie spóźnić na autobus odwożący Cię do stacji. Dopadasz autobusu, zjeżdżasz, wypychasz się do pociągu razem z międzynarodowym tłumem — kilku księży z Irlandii na pracy misyjnej, jeden profesor, ksiądz z Heidelbergu, duża grupa Francuzów, paru wyciszonych Niemców i reszta to rozbuchani Amerykanie wszelkiej maści. O dziesiątej wieczór pociąg wyrzuca Cię z powrotem w Cusco, w temperaturze, która spadła poniżej zera. Szczękając zębami ruszasz na poszukiwanie jedzenia, jak masz szczęście, to znajdziesz talerz gorącej zupy. Cusco kładzie się spać, w domach ci, co je mają, inni układają się na chodnikach, pod arkadami domów, lub też wokół targu, czekając na wschód słońca i nowy dzień, kiedy będzie się można zagrzać, może coś ukraść od turystów, może coś sprzedać i zjeść.

W swojej dalszej pielgrzymce po zabytkach inkaskich wyruszasz następnego dnia na piechotę wzdłuż pasma górskiego panującego nad doliną Cusco. Pierwszy zabytek, do którego dochodzisz, to twierdza. Wędrujesz wzdłuż bastionów zbudowanych z ciosów około trzydziestu ton każdy. Pokonujesz niezliczone klatki schodowe, wspinasz się z jednego tarasu na drugi i zaczynasz rozumieć, dlaczego pisarze poszukujący zaginionych cywilizacji — być może nie naszego ziemskiego pochodzenia — rozpisali się na temat Ameryki Południowej. Jest bowiem coś dziwnego i niesamowitego w tych budowlach, które w niczym nie przypominają rzeczy nam znanych. Nie bardzo wiadomo, czemu służyły, dlaczego owa twierdza otwiera się na równinę starannie wyklepaną, jak najlepsze boisko do piłki nożnej. Czyżby byli również czcicielami footballu? Stamtąd idziesz na piechotę dalej. Droga wiedzie cię do następnego zabytku, tym razem jest to gigantyczny kamień, wyobrażasz sobie, że mógł to być meteor wielkości czteropiętrowej kamienicy przewróconej na bok. Tym razem wygląda to jak wielki projekt architektoniczny nigdy nie zrealizowanego miasta — lub też wybudowanego, lecz nie odkrytego, jak myślą archeolodzy. — Nagle dochodzi cię jakiś głos, idziesz za nim i odkrywasz jego źródło. Na kamieniu siedzi India-

nin stary, prawie ślepy — trzyma w ręku instrument przypominający kształtem bałalajkę i akompaniuje sobie na tym instrumencie, który wydaje dźwięki jak cykada. Drżącym głosem wysławia jakąś melodię, a jedyne co możesz z niej wychwycić to to, że na pewno jest ona różna od Beatlesów. Za chwilę zwala się cała grupa turystów, pstrykanie aparatów fotograficznych, Indianin przestaje śpiewać i tępo wpatruje się w oko kamery. Ruszasz wobec tego dalej, gdzie już nic nie ma poza Andami. W pewnym miejscu natykasz się na grupę Indianek. Siedzą przy drodze tak, jakby to było odwieczne miejsce spotkań, wymachują do ciebie rękami, coś zagadują, czego oczywiście nie rozumiesz, a potem śmieją się z ciebie, bo przecież dla nich wyglądasz jak jakiś niezwykle okaz zwierzę z ZOO. Dalej rozciąga się płaskowyż, trochę mizernej trawy, słońce zapada za góry, jakieś dwie Indianki zaganiają w nieznaną stado lam, przyspieszasz kroku, żeby jeszcze przed nocą dotrzeć do ostatnich ruin. Przychodzisz nieomalże w ostatniej chwili. Słońce już się skryło, zmierzch zapada szybko, pustkowie i wąwóz, i na końcu tego wąwozu znajdujesz nowe ruiny, tym razem masz wrażenie, że ich budowniczy byli czcicielami wody. Jest tam bowiem źródło wody (rzecz na pewno rzadka w Andach), wytryska strumieniami i spływa specjalnie wybudowanymi kanałami w murach do krytej sadzawki. Jest zimno, szybko robisz parę zdjęć w zapadającym zmierzchu i wracasz na główną drogę, gdzie łapiesz ciężarówkę. Wspinasz się na tył, kucasz, okrywając się czym masz na sobie i ze sobą, i przez następne dziesięć kilometrów do Cusco podziwiasz Drogę Mleczną, Krzyż Południa i inne konstelacje i księżyc, który szybuje ci nad głową. W mieście biegniesz kłusem w poszukiwaniu jedzenia i tą ulicą ciepła, jaką ci daje zamknięte pomieszczenie.

Potem pozostaje ci jeszcze do zwiedzenia Pisac, wioska położona w dolinie świętej rzeki Urubamba. Turysty zwykle jeżdżą tam w niedzielę, kiedy odbywa się wielki targ indiański, ale ty odkryłeś inną wioskę, do której wybierzesz się w niedzielę, wyruszasz więc do Pisac w dzień codzienny. W autobusie prawie sami miejscowi i tylko kilku cudzoziemców. Ze zdumieniem odkrywasz, że dwóch z nich należy do sekty bahai, że prowadzą wśród Indian pracę misyjną, nawracając Indian na muzułmanizm i ucząc ich wegetarianizmu. Jak gdyby w tych wioskach było coś innego do jedzenia! Nawiązujesz z nimi konwersację, siedzą z nimi jacyś lokalni

Indianie, którzy z dumą wskazują na siebie, że oni już też są bahai. Dwie godziny podróży wzdłuż łożyska rzeki przechodzą ci szybko. Dojeżdżasz na miejsce, wioska taka jak inne, to znaczy domy z gliny, nędza i pusto. Wchodzisz na skwer, oczywiście nazywa się dumnie Plaza de Armas, dwa ogromne drzewa, wyglądają na sykomory i mają pewnie około tysiąca lat każdy. Są to jedyne zabytki preinkaskie w miasteczku. Ale nie przyjechałeś tu po to, żeby podziwiać owe drzewa. Poza targiem niedzielnym Pisac jest sławny z ruin inkaskich, jak zwykle w łańcuchu górskim dominującym dolinę. Wspinasz się więc do góry, brak Ci trochę oddechu, ale po chwili dochodzisz do poziomu pierwszych tarasów uprawnych. Całe pasmo jest bowiem pocięte tarasami, na których miejscowi Indianie uprawiają do dziś kukurydzę i ziemniaki. Dalej dochodzisz do pierwszego bastionu, twierdzy. Stamtąd masz pełny widok na dolinę, na Pisac i góry po drugiej stronie rzeki. Pisac było osiedlem wybudowanym przez Hiszpanów na planie typowym dla tych budowniczych. Założenie regularne, miasto pocięte w czworoboki, ulice ułożone pod kątem prostym, w środku plac i kościół. Hiszpanie budowali swoje osiedla w dolinach. Inkowie poza Cusco mieszkali na górach. Nie w górach, ale na górach właśnie. Za tobą, na siodle łączącym dwa łańcuchy górskie, rozciąga się miasto inkaskie. Składało się ono z dwóch, a raczej trzech zasadniczych elementów. Teras uprawnych, osiedla komuny wiejskiej i wznoszącego się nad nimi kompleksu świątynnego. Tak naprawdę to zwiedzasz tylko kompleks świątynny, jedyny prawdziwie interesujący. Pozostały w nim świetnie zachowane ruiny dwóch budowli, zwanych przez archeologów świątynią słońca i świątynią księżycy. Poza tym masz tam również inny obiekt o tajemniczym przeznaczeniu. Jest to budowla centralna, na planie koła, zbudowana na i wokół kamienia. Czy był to meteoryt? Trudno powiedzieć, nie jestem geologiem. Szczyt kamienia został wyraźnie ścięty. Czemu on służył? czy miał znaczenie rytualne? Tego można się tylko domyślać. Co jest w tym interesujące, to fakt, że masz tu oto nowy przykład tego, jak kompleks świątynny został wzniesiony wokół kamienia. Inne przypadki to Kaaba w Mekce i «Dome on the Rock» w Jerozolimie, zbudowany na miejscu dawnej świątyni Salomona wzniesionej na starszej jeszcze świątyni Jebuzejczyków, którzy ongiś zamieszkiwali to wzgórze. Zarówno w Mekce, jak i Jerozolimie centralną pozycję zajmuje kamień, w przypadku Jerozolimy legendy mówią, że jest on ziem-

skim ośrodkiem, tam miał się znajdować grób Adama, i tamże miał Abraham ofiarować Izaaka. Innymi słowy jest to szczyt góry Moriah, skąd Mahomet miał się wznieść w powietrze i poszybować do Mekki.

Tyle o Inkach i dygresji na temat historii porównawczej. Po zwiedzeniu ruin wracasz inną drogą do miasteczka. Autobus przyjeżdża za parę minut, zabierasz się więc z powrotem do Cusco. Najpierw długa jazda bitą drogą wzdłuż rzeki w dolinie, natomiast na ostatnie pół godziny wjeżdżasz na oficjalną międzynarodową szosę wiodącą z Cusco do La Paz, stolicy Boliwii. Czy w lepszym stanie? Trudno powiedzieć, raczej nie. W każdym razie w pewnym momencie autobus skręca gwałtownie i ku twojemu przerażeniu zanurza się w rzece. Międzynarodowa szosa «chwilowo» się bowiem w tym miejscu urwała. Z trudem wypetza — a może wypływa — na drugi brzeg, po to żeby po następnych pięciu minutach zanurzyć się w rzece znowu. Ale tym razem wyjazd z niej jest całkiem niespodziewany, bowiem nagle znajdujesz się na autostradzie o asfaltowej nawierzchni. Wtedy zdajesz sobie sprawę, że jesteś już w Cusco, i że radni miejscy postanowili kiedyś «mieć szosę». Energii i pieniędzy starczyło tylko do rogatek, dalej rozciąga się to samo dzikie Peru, gdzie popularnym zaprzęgiem jest wół, i gdzie zdegradowany potomek Inków dalej żyje w glinianych lepiankach, chodzi na targ bez butów, pokonując kilkadziesiąt kilometrów w ciągu dnia na piechotę, jakkolwiek trzymając tranzystor przy uchu. Czasy się bowiem zmieniły, nawet dla nich, a cywilizacyjny proces przyjmuje czasem zadziwiające formy.

Tyle na dziś, w następnym liście nowy fragment pt. «Targ niedzielny w Chinchero».